

Ojciec jak właściwie to się stało?

Po dymisji rządu p. Bartla.

Stało się najniebezpieczniej dla ogółu, dla Sejmu, a przede wszystkim dla rządu, zwłaszcza zaś... samego premiera Bartla.

Mówmy otwarcie: najmniej się spodziewał premier Bartel tego, co go spotkało.

Przecież jechał z Sejmu do Zamku, do p. Prezydenta po podpis na dekrety o rozwiązaniu ciała ustawodawczego, a rychno potem... wyjechał z własną dymisją.

W dniach ostatnich, zwłaszcza po rozmowie w Drusienikach, premier Bartel poszedł do walki z Sejmem na utartą drogę. Marszałek Piłsudski podczas konferencji wysłuchał jego uwag tak iż premier Bartel miał wrażenie, iż się z jego zamysłami całkowicie godzi.

Dlatego też zaczął po powrocie z Drusienik gorączkowo przygotowania do nowych wyborów. Mowa jego w Sejmie miała być programową, sztandarową wystąpieniem dla wyborców. W administracji miały być dokonane w dniach najbliż-

szych bardzo śmiało pociągnięcia w celu reorganizacji administracji. Rekonstrukcja rządu, jaka miała być przeprowadzona niebawem po rozwiązaniu ciała ustawodawczego przez premiera miałaby pójść po linii zaspokożenia pragnień lewicowych. Ostry kurs na lewo — to był kierunek trzeciego, już zrekonstruowanego gabinetu Bartla. W dniach ostatnich ustalano nawet terminy wyborów...

Wszystko szło w najlepszym kierunku, gdy nagle doszło do posiedzenia rady ministrów w Belwederze. W tym czasie, kiedy kluby sejmowe zaczynały w południe swe obrady, jak przypuszczano: ostatnie obrady — w Belwederze zjechali się wszyscy ministrowie, aby omówić zachowanie się na posiedzeniu sejmowym i wyciągnąć konsekwencje w postaci rozwiązania Sejmu.

Alco wtedy wystąpiły zastrzeżenia. Zjawili się one u wybitnych członków rządu. Wiadomo, iż p. Aleksander Raczynski uchodził za męża zaufanego marszałka Piłsudskiego. Wiadomo, iż minister Kwiatkowski zażywa u p. Prezydenta Rzplitej dużego uznania.

A tymczasem marsz. Piłsudski ważył, czy wskazano jest w ciężkiej sytuacji międzynaro-

dowej, gdy dochodzą nas wieści o traktacie gwarancyjnym sowiecko - litewskim, — wyzywać się Sejmu i pogrążyć kraj w odmęt walki wyborczej, a ziemie wschodnie rzucać na agitację żywiołów anarchicznych i komunizujących.

I gdy premier Bartel przyjechał do Zamku po posiedzeniu sejmowym, z wnioskiem, by Prezydent podpisał dekret o rozwiązaniu ciała ustawodawczego — zastał tam marszałka Piłsudskiego.

Prezydent odmówił podpisania tego dekretu.

Premier Bartel się zachnął i zagroził dymisją.

Ku jego największemu zdumieniu dymisja została przyjęta...

On sam najmniej tego oczekiwał...

Biedni tedy byli ministrowie, których niebawem p. Bartel zwołał do prezydium rady ministrów, by im zakomunikować decyzję p. Prezydenta. Wysłuchali podobno niemało...

Tak zawiodła logika rzeczy, zawiedły wszelkie przygotowania: wiadomo wszakże, iż dzisiaj w Polsce najnieprawdopodobniejsze sytuacje są zupełnie możliwe...

Całe społeczeństwo spłaca dług honorowy wobec Orlińskiego i Kubiaka

Rada miejska uchwaliła czynne poparcie

Świetny rozwój zainicjowanej przez nas akcji wdzięczności dla bohaterów Orlińskiego i Kubiaka świadczy, jak duże jest u społeczeństwa zrozumienie konieczności godnego spłacenia takich długów honorowych, jak ten, któryśmy wszyscy zaciągnęli u obu dzielnych Polaków.

Odkładając na bok wszelkie ambicje inicjatorów, pragniemy, by zrobiony przez nas początek, zamienił się w czyn całego społeczeństwa.

Zaprojektowaliśmy zatem utworzenie komitetu społecznego z udziałem przedstawicieli wszystkich warstw.

Zwróciliśmy się do p. prezesa Rady miejskiej sen. Balińskiego z prośbą o poparcie sprawy.

P. sen. Baliński przyjął bardzo życzliwie całą sprawę. Następstwem zabiegów p. Balińskiego, jest uchwała Rady miejskiej, polecająca prezydium szczegółowe omówienie sposobów należytego wyrażenia wdzię-

„ABC” przeświecła drożynę

Jak ludzie różnych zawodów ją odczuwają?

Dziś zabiera głos dwoje dobrych przyjaciół „A. B. C.”: p. Teofil Piłewski, dońca, bardzo ceniony w swoim domu przy Marszałkowskiej nr. 106 i p. Walerja Birycka, popularna sprzedawczyni na terenie swej ciężkiej, codziennej pracy w bazarze na ul. Bagno.

Sprzedawczynie warzyw

P. Walerja Birycka jest znana na Bazarze przy ul. Bagno, gdzie od lat handluje włoszczyzną:

— Wszystkie smutki naszego życia — mówi nam p. Walerja — powstają za przyczyną drożyny. Dwa złote zysków z mojego handlu ma mi starczyć

na to, by żyć. Więcej trudno u-targować.

Z tego opłacić trzeba roczny podatek w sumie 12 zł., a ponadto co miesiąc 13 zł. komornego.

Znajdźcie sposób, by wyżyć w takim położeniu?

Dozorca domowy

P. Teofil Piłewski z ul. Marszałkowskiej Nr. 106:

— Dawniej dozorca był wielkim panem. Miał 16 rubli pensji, mieszkanie, jak się należy, a przede wszystkim „brama”, która dawała pokaźne zyski.

Dobre były czasy.

A dziś? Pensja 50 zł., z bramy kilkanaście złotych i to wszystko.

Ol! czuję dotkliwie drożynę przy każdym nędznym obiedzie bez mięsa: dziś kartofle z marchwią, jutro marchew z kartoflami.

WESOŁE ECHA

„WOJSKA

DWORCA CENTRALNEGO”.

W poważnym bądź co bądź piśmie francuskim, jakim jest rojalistyczna „L'Action Française”, w numerze z dnia 27-go września b. r. ogłoszona jest wiadomość o Polsce, z której się dowiadujemy, że... cenzura listów i depesz już uprawdzie uchyłono, ale pocztą zuraca wszystkie depesze, bo panuje obawa rewolty, przyczem obawa ta jest tak poważna, iż Marszałek Piłsudski osobiście objął dowództwo nad „wojskami dworca centralnego”.

Takie bzdury drukuje poważne pismo francuskie. I takie bzdury rozchodzą się, niesłusznie, po świecie.

Są to rzeczywiście wesołe, ale i bardzo smutne echa.

Spadkobiercy odznaczonych

Orderem „Virtuti Militari” reflektować mogą na odbiór pensji

Urzędy wojskowe — jak się dowiaduje „ABC” — otrzymały w tych dniach zlecenie od swych centralnych władz, by możliwie jaknajrychlej sporządziły dokładne wykazy wszystkich zmarłych oficerów i szeregowych, odznaczonych orderem „Virtuti Militari”.

W rachubę mają być brani jedynie ci zawodowi i niezawodowi wojskowi, którzy to wysokie odznaczenie otrzymali za życia.

Wspomniane listy mają być jaknajrychlej przesłane bezpośrednio do kapituły orderu „Virtuti Militari”, która po należytem ich przejrzeniu, ostatecznie zadecyduje wypłatę pensji spadkobiercom.

czności Orlińskiemu i Kubiakowi.

Jedno z pism popołudniowych w numerze wczorajszym typnęło złym okiem na podjętą przez nas akcję uczczenia znakomitych zdobywców przestworza.

Liczne dowody entuzjastycznego przyjęcia naszego projektu przez społeczeństwo, upewniają nas, że to złe spojrzenie, nie rzuci uroku na piękny czyn.

Dary pieniężne naszych Czytelników napływają dalej.

Pp. urzędnicy zarządu cukrowni „Gosławice” złożyli 19 złotych, pp. Stanisławstwo Korachowie 10 zł., p. K. Pluciński 15 zł.

Wytworne nakrycia głowy

Wiosny 1926 7 r

Wielki wybór

J. MACHOWSKI

Pl. Trzech Krzyży 18.

BOLESŁAW ORLIŃSKI.

3)

Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC” Warszawa

Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim zapałem zabrałem się do przygotowań do podróży. Właściwie, moje przygotowania polegały tylko na załatwieniu najrozmaitszych formalności, albowiem bagaży nie mogłem brać ze sobą, by więcej zabrać benzyny i smarów, zaś samą maszynę przygotowywano już do lotu w centralnych warsztatach lotniczych pod czujnym okiem p. Skraby.

Te formalności jednak okazały się tak skomplikowane, że pomimo ułatwień na każdym kroku, zabrały mi kilka dni.

Gdy pułk. Rayski załatwiał sprawę mego przelotu nad Rosją w poselstwie sowieckim poseł Wojkow doradzał, bym zabrał ze sobą kilka granatów ręcznych, na wypadek lądowania przymusowego gdzieś w tajdze lub na zboczach Chinganu. Przez wzgląd na obciążenie nie mogłem skorzystać z tej rady, zabrałem jedynie ze sobą dwa wielkie Mausery z kolbami i setkę ładunków do nich.

Dopiero wieczorem dnia 26 sierpnia mogłem rzec sierzantowi Kubiakowi:

— No, jutro rano jutro polecimy sobie do Tokio.

Kubiak bardziej gruntownie przygotował się do lotu.

Zakupił sobie paczkę biskwitów, butelkę czerwonego wina, czekoladę, przygotował nawet krajanki. Jak się później okazało, Kubiak w górę ma wcale niezły apetyt. Zabrane wiktuały zajaśniały z dystynkcją, wygodnie usadowiony w głębokim fotelu.

Dzień 27 sierpnia, dzień naszego odlotu — spotkał nas beznadziejnie szarem niebem. Ciężkie, ołowiane chmury, niechętnie wlokły się po ziemi w kierunku wschodnim. Ładna historia, — pomyślałem sobie, — lot pod takimi chmurami aż do Moskwy, średnia to przyjemność!

Prawie nikt nie wiedział o terminie mego odlotu. To też nieliczna garstka moich przyjaciół przebywała na lotnisku, bohatersko moknąc pod drobnym, przenikliwym deszczem. Dwaj japończycy w płaszczach deszczowych przyjechali na lotnisko, by z urzędu mnie pożegnać. Nie wierzyli w powodzenie mego lotu.

Jeden z nich dał nawet wyraz swoim wątpliwościom.

— Nie chciałbym pana zrażać, lecz zdaniem moim, nie uda się panu przebić do Tokio. Właśnie w tym okresie panują tam niesłychane burze i przebyć w owym okresie morze Japońskie jest niepodobniństwem.

Żeby dodać sobie animuszu, zagadnąłem swego mechanika:

— No, jakże tam, panie Kubiak, dokręci się do Tokio?

— Powinien, panie poruczniku, — odrzekł bezapelacyjnie.

Koledzy moi, pomimo wczesnej godziny, byli w dobrych humorach.

— Nie zapomnij tylko, każdemu z nas powinienes przywieźć gejsze.

Wyraziłem zasadniczo zgodę, jakkolwiek zgóry wiedziałem, że oczekuje ich gorzki zawód. Przypominałem sobie o kilku sprawach, które zapominałem załatwić. Lecz było już zapóźno.

Nie miałem czasu na rozmyślanie. Zamieniłem ostatni uścisk dłoni z kolegami, ułożywałem się na siedzeniu i przypasałem się. Mechanicy, widocznie wzruszeni, z wielkimi przejęciem, jeszcze raz obej-

rzeli motor, zapuścili śmigło i trzymając aparat za skrzydła, dopomogli mi wyjechać na środek lotniska. Niezbyt łatwo było wystartować, mając 800 litrów benzyny na pokładzie. Ciężko potoczył się samolot po mokrem polu, po chwili podniósł ogon i ciężko oderwał się od ziemi. Zrobiłem wiraż, by rzucić ostatnie spojrzenie na śpiącą jeszcze Warszawę, przeleciałem nad śródmieściem, Wisłą i Pragę, — po chwili już byłem poza obrębem miasta.

Warszawa pozostała za mną — przedemną było — Tokio.

Wschodu słońca nie widziałem. Jedyne wzmocnione cokolwiek światło pozwalało domyślać się, że nad grubą powłoką chmur jaśnieje słońce.

Leciałem nad koleją, prowadzącą do Białogostku. Miejscowości podwarszawskie rozpoczynały już budzić się ze snu. Krótkie pociągi podmiejskie zdążyły w kierunku Warszawy. Od czasu do czasu ukazywał się dłuższy szary robak — pociąg towarowy.

W okolicy stacji Łapy porzuciłem koleję, by sprstować sobie cokolwiek drogie. Białystok pozostał jakiegoś dwadzieścia kilometrów wlewo. Widziałem miasto jedynie w postaci szarej, zlekka zadymionej masy. Okolice, jakimi przelatywałem, dobrze są chyba wszystkim znane, nie będę więc dłużej zatrzymywał się na ich opisie.

Lecąc ciągle pod chmurami, na wysokości około 300 metrów, nie interesowałem się zbytnio tem, co się dzieje na dole. Przecież tyle razy latałem tym szlakiem...

Przed Baranowiczami rozpocząłem uważnie rozglądać się po zamglonym widnokręgu, — czy nie ukaza się gdzieś ciemne kropki. Koledzy z eskadry mieli przylecieć tutaj, by mnie odprowadzić do granicy.

Naprawdę! W Lidzie nie przypuszczano, że bym w taką pogodę rozpoczął daleką podróż.

(C. d. n.)